

Wiktor Bater dziennikarską pracę rozpoczął w 1992 roku w Polskim Radiu, w charakterze reportera naczelnej redakcji informacji. W tym samym roku z konwojem Polskiej Akcji Humanitarnej – jako przedstawiciel polskich mediów – wyjechał na ogarniętą wojną Bałkany. W styczniu następnego roku, gdy Janina Ochojska opuszczała Sarajewo, pozostał w stolicy byłej Jugosławii. Zdecydował się tym samym na nowe zawodowe zadanie – korespondenta wojennego – któremu pozostał wierny przez następne prawie dwadzieścia lat kariery w mediach, relacjonując najważniejsze i najgłośniejsze konflikty zbrojne przełomu wieków. Po latach napisał o swoim wyborze: „Może rzeczywiście jestem hieną, ale zawsze jestem też świadkiem zbrodni i próbuję dociec jej przyczyn”¹.

Literaturoznawca i medioznawca Andrzej Kaliszewski, specjalizujący się w analizach wojennych reportaży, tak ocenił relacje dziennikarza: „Bater jako korespondent wojenny stanowi doskonały przykład dziennikarza «pełnego kontaktu»: pracującego szybko, z po-

święceniem, z narażeniem życia, przy tym niewyżytego ludzkiej wrażliwości, mimo iż w warstwie językowej jego teksty emanują estetyką «twardziela» [...]”².

W 1994 roku Wiktor Bater został korespondentem Polskiego Radia w Moskwie. „Tamte tereny były mu bliższe, i tamto życie. Pracował tam, gdzie rozumiał ludzi, w każdym razie rozumiał ich lepiej niż inni”³ – choć lakonicznie, to adekwatnie podsumowali kilkanaście lat pracy i życia kolegi dziennikarza Dorota Kowalska i Wojciech Rogacin w eseju *Życie na krawędzi (Wiktor Bater)*, zamieszczonym w książce *Korespondenci.pl. Wstrząsające historie polskich reporterów wojennych*.

Choć pracę dziennikarską rozpoczynał w radiu, to telewizja okazała się tym medium, w którym czuje się najlepiej, „u siebie”. Relacjonując w latach dziewięćdziesiątych pierwszą wojnę czeczeńską, Wiktor Bater radiowiec współpracował z dziennikarzem Telewizji Polskiej Witoldem Laskowskim, dzięki temu miał okazję poznać z bliska działania jego ekipy.

1 W. Bater, *Nikt nie spodziewa się rzezi. Notatki korespondenta wojennego*, Kraków 2008, s. 11.

2 A. Kaliszewski, *Świadek na krawędzi (Wiktor Bater)*, w: tegoż, *Mistrzowie polskiego reportażu wojennego (1914-2014)*, Kraków 2017, s. 251.

3 D. Kowalska, W. Rogacin, *Życie na krawędzi (Wiktor Bater)*, w: tychże, *Korespondenci.pl. Wstrząsające historie polskich reporterów wojennych*, Warszawa 2014, s. 191.

Zawsze fascynowała go praca z kamerą, patrzył im na ręce, jak oni to robią, jak kręcą, jak szukają ujęć, jak się ustawiają przed kamerą – piszą Kowalska i Rogacin. – W radiu robota była prostsza – telefon, nadanie relacji i sprawa załatwiona. [...] Kocha radio, ale telewizja daje zdecydowanie większe możliwości. Czasami obraz przemawia do wyobraźni bardziej niż słowo. Jedno ujęcie czyni więcej niż tysiące wyrzuconych z siebie zdań⁴.

I choć Wiktor Bater pozostał wierny swojemu pierwszemu dziennikarskiemu wyborowi, bo do 1999 roku zreklamacjonował jeszcze dla radiowej Jedynki konflikty w Czeczenii i Abchazji, a po zakończeniu tej współpracy był przez kilka lat moskiewskim korespondentem Radia Zet, to zdecydował się na telewizję: w latach 1999-2007 był zagranicznym i wojennym korespondentem TVN (między innymi: relacje z drugiej wojny czeczeńskiej, z Afganistanu, Iraku oraz Izraela, a także z zamachów terrorystycznych na moskiewski teatr na Dubrowce oraz szkołę podstawową w Biesłanie), w latach 2007-2009 TVP (konflikt rosyjsko-gruziński), w latach 2009-2011 Polsat News (10 kwietnia 2010 roku był pierwszym dziennikarzem, który podał informację o katastrofie smoleńskiej; za relację tę otrzymał Nagrodę Grand Press 2010 w kategorii News).

Ważnym elementem pracy Wiktora Batera jest słowo pisane. W 2008 roku Wydawnictwo Znak opublikowało jego książkę *Nikt nie spodziewa się rzezi. Notatki korespondenta wojennego*. Wysoko ocenił tę publikację wspomniany Andrzej Kaliszewski, który zaliczył autora do mistrzów polskiego reportażu wojennego (1914-2014), obok takich

klasyków jak choćby: Juliusz Kadencewicz, Melchior Wańkowicz, Marian Brandys, Ryszard Kapuściński. Tak uzasadniał swoją opinię:

[...] sukces analizowanego zbioru Batera jest zapewne wynikiem właśnie przyjętego dystansu względem przedstawianych wydarzeń oraz spójności czasowej ich powstania (z owych wspomnianych przez autora „notatek”). Dystans okazał się czynnikiem bardzo pozytywnym i twórczym: nie tylko pozwolił na uporządkowanie doświadczeń, materiałów, refleksji, ale implikował większą dojrzałość i staranność pracy samego podmiotu twórczego. Oryginalność zbioru reportażu wojennych Wiktora Batera to także przedstawienie w jednym tomie szerokiego „waccharza” współczesnych konfliktów, umiejętność prowadzenia narracji akcyjnej tak związanej (minimalistycznej), a zarazem przepełnionej ciekawą (inspirującą do przemyśleń) informacją, jak i naturalna emocją. Jako reporter ma Bater dar krótkiego, sentencjonalnego i bezkompromisowego (odważnego) komentowania, uogólniania faktów⁵.

W 2012 roku Wiktor Bater został moskiewskim korespondentem tygodnika „Wprost”. W 2013 roku przyjechał do Polski, obejmując stanowisko redaktora naczelnego telewizji Pomorska.tv w Gdańsku. Od kwietnia 2015 roku w Warszawie jest szefem działu informacji Superstacji, prowadzi też autorski program *Dookoła świata*, poświęcony bieżącym wydarzeniom na świecie oraz w polityce międzynarodowej. Wśród informacji umieszczonych na stronie głównej Telewizji Superstacja jedną z najbardziej intrygujących jest ta, która charakteryzuje redaktora Batera: „Nie wierzy w życie pozadziennikarskie...”⁶

Z Wiktorem Baterem rozmawiała Izolda Kiec.

4 Tamże, s. 187, 192.

5 A. Kaliszewski, dz. cyt., s. 266.

6 <http://www.superstacja.tv/prezenter/wiktor-bater/> (dostęp 4 lipca 2018).

„TAM JEST WSZYSTKO CZARNE... I CZERWONE”

Spotkanie z Wiktorem Baterem

IZOLDA KIEC: Rozmawiamy 16 kwietnia 2018 roku, dwa dni po tym, jak państwa zachodnie zaatakowały obiekty rzekomo produkujące broń chemiczną w Syrii; w odwecie za przypisywany Asadowi atak chemiczny w Dumie. I mimo że mówimy dzisiaj o wojnach hybrydowych, pełzających, z udziałem mediów – w dużej mierze społecznościowych, wojnach ekonomicznych, to widzimy obrazy jak z pierwszej wojny światowej (użycie bojowych środków trujących), drugiej (naloty bombowe). Czy zatem wojna rzeczywiście się zmieniła? A może lepiej zapytać – co się nie zmieniło w konfliktach współczesnych, gdy porównamy je do wcześniejszych wojen konwencjonalnych?

WIKTOR BATER: Nie zmieniło się jedno. Śmierć. To jest ten jedyny element, który się nie zmienił, ale poza tym cała otoczka współczesnych wojen różni się znacznie od tego, co było. To, co się w tej chwili dzieje w Syrii, takie obrazy, które przekazują nieliczne telewizje – bo w Syrii nie ma praktycznie dziennikarzy zachodnich – zestawiam z tym, co się działo w Iraku, kiedy Amerykanie rozpoczęli kampanię przeciwko Saddamowi Husajnowi. Tak naprawdę obrazy z Syrii są mocno niewiarygodne, bo nawet jeśli prawdziwe jest to, co widzimy, już to, co znajduje się za obrazem, jest kwestią propagandy. To są właśnie

wojny informacyjne, propagandowe: ten sam obraz może być sprzedawany przez każdą stronę konfliktu. Tego nie było w Iraku, bo mimo że bardzo był utrudniony dostęp do tego kraju ogarniętego wojną, to jednak można tam było wjechać, działać i czuć się w miarę bezpiecznie, gdy się wykonywało swoją pracę. Do Syrii praktycznie nie ma wjazdu, a obrazy pokazywane przez stronę rosyjską są podobne do tych, które pokazuje telewizja CNN na przykład. Gdzie jest prawda – nie wiem, tutaj nie da się ferować wyroków. W przypadku ostatniego ataku chemicznego, który został przeprowadzony jakoby przez wojska Asada, przecież wcale nie wiem, czy rzeczywiście tak było, jeśli coś rzucono – też nie wiem co? Chlor? Sarin? Relacje są sprzeczne. Nie wiemy, czy to był Assad, czy to były jakieś formacje zbrojne opozycji, które w ten sposób dokonały prowokacji. Tak, w tej chwili wojna jest przede wszystkim wojną informacyjną – i to jest jej jedna strona. A druga strona – jest taka, że giną ludzie, giną cywile, giną dzieci – i komuś jest to na rękę. W tym konflikcie w Syrii nie potrafię się kompletnie pozbierać. Zwłaszcza jeśli chodzi o określenie stron, jest ich za dużo. I komu wierzyć? Nie podejmuję się rozstrzygnąć.

IK: Kilka lat temu napisał Pan artykuł do kwartalnika artystycznego „Bliza”, zatytułowany *Pierwszą ofiarą wojny jest prawda*¹. Nic się od tamtej pory nie zmieniło...

WB: Swoją prawdę sprzedaje jedna, druga, trzecia, czwarta strona, bo pamiętajmy, że na przykład w Syrii są nie tylko asadowcy i Rosjanie, tam jest Iran, wspierany przez Rosjan, jest taki przedziwny sojusz rosyjsko-irański, tam są Kurdowie, tam jest Turcja, tam jest Izrael, tam jest Liban, tam są wreszcie wszelkiego rodzaju bojówki – niby zniszczone w tej chwili – państwa islamskiego, ale też są. I jest ludność cywilna, są Białe Hełmy, wobec których jest na świecie wiele kontrowersji i wiele zastrzeżeń. To jest najgorsza strona tej wojny, że jej pierwszą ofiarą pada prawda. Komu wierzyć i jak wierzyć? Powtarzam: nie podejmuję się udzielić odpowiedzi.

IK: Tytuł wspomnianego artykułu był cytatem sprzed stu lat²; Pański tekst dotyczył wojny w Ukrainie. Minęło kilka kolejnych lat, a wciąż wydaje się, że jesteśmy dalej od prawdy niż bliżej. To porażka zabezpieczeń stworzonych po drugiej wojnie światowej. Wypowiadał się Pan niejednokrotnie na temat działalności ONZ...

WB: Nie jest to opinia pochlebna.

IK: To także porażka badaczy, antropologów, kamyczek do własnego podwórka. Ale i mediów. Podczas gdy po zakończeniu wojny na Bałkanach mówiono o dużej roli mediów w tym procesie, nawet o „efekcie CNN”, dzisiaj jesteśmy bardziej nieufni. Media są rozgrywane i nas, odbiorców, także rozgrywają?

WB: Media są rozgrywane przez każdą ze stron konfliktu. To widać było bardzo

wyraźnie na Bałkanach, w pierwszej chyba wojnie, w której strony konfliktu zdały sobie sprawę z siły i potęgi informacji. Rozgrywanie dziennikarzy przez Bośniaków, Chorwatów, ale przede wszystkim Serbów, było zakrojone na szeroką skalę, to znaczy – każda ze stron próbowała przyciągnąć sympatię mediów ku sobie. Nasze relacje też próbowano zmanipulować. Kiedy pojechałem pierwszy raz na Bałkany w grudniu-styczeniu 1992 roku, to byłem sam, w Sarajewie. Znajdowałem się wśród Bośniaków z Telewizji Sarajewo, którzy przekazywali mi absolutnie jednoznaczny obraz tej wojny: na wzgórzach siedzą źli Serbowie, oni nas ostrzeliwują, oni chcą nas unicestwić, my jesteśmy Bogu ducha winni. Pokazywali mi tak naprawdę to, co chcieli pokazać, a innej możliwości nie było, ponieważ będąc tam sam, nie dojechałbym w te miejsca, w które oni mnie wozili, więc byłem zadowolony choć z tego. Ale to, co mi mówili, dzieliłem co najmniej przez dwa. Kilka miesięcy później pojechałem tam znowu, tyle że na wzgórze okalające Sarajewo, z Serbami, którzy twierdzili: to zupełnie zafałszowany obraz, my chcemy wrócić do naszych domów, my tam mieszkaliśmy, a teraz nas unicestwiają... my walczymy o to, żeby wrócić do siebie. I to już był pierwszy sygnał ostrzegawczy, jedni i drudzy przekazywali kompletnie inny obraz tego samego konfliktu. Propaganda wyrosła z tej właśnie wojny. A zniszczenia i ofiary to jest *constans*, to jest niestety rzecz, z którą spotykamy się na każdej wojnie, na każdym kroku... Potem, gdy analizowałem kolejne relacje – czy to z Bośni, czy z Chorwacji, czy z Serbii –

1 W. Bater, *Pierwszą ofiarą wojny jest prawda*, „Bliza” 2014, nr 4, s. 6-10.

2 Z przemówienia Hiram Johnsona w amerykańskim senacie, wygłoszonego w 1918 roku.

utwierdzałem się w przekonaniu, że na takiej wojnie jak w Bośni na przykład, wojnie domowej, nie ma tonacji czarno-białych, tam wszystko jest czarne, tak naprawdę nawet nie szare, tam jest wszystko czarne... i czerwone. Żadna ze stron nie mówi całej prawdy, każda chce pokazać, wykreować się jako ta, która jest ofiarą, ze wszystkich innych stron są agresorzy, ale poszczególni gracze stawiają się w pozycji niewinnego baranka, który idzie na rzeź. I to było smutne w momencie, kiedy wiadomo było, że Serbów wspiera Rosja. Ja też świetnie zdawałem sobie sprawę z tego, że będąc z Serbami, na ich pozycjach, jestem odbierany jako człowiek, który działa na rzecz moskiewskiej propagandy, tak naprawdę Moskwa cały czas mówiła, że to nie bośniaccy Serbowie są agresorami, tylko wręcz przeciwnie – to Bośniacy, napędzani przez Zachód, Stany Zjednoczone. Z drugiej strony wyglądało to dokładnie tak samo. Strona bośniacka mówiła: nie, nie, to Serbowie, których wspomagają i wspierają Rosjanie, to jest ta strona konfliktu, której należy się bać, i to oni rozpętali piekło.

Oczywiście, można tu snuć różnego rodzaju historyczne dywagacje, jak się ów konflikt na Bałkanach rozgrywał, natomiast niewątpliwie jest tak, że jeżeli człowiek chwyta siekierę i idzie zabić sąsiada, obok którego żył i z którym obcował przez minione dwadzieścia, trzydzieści lat, to znaczy, że tak naprawdę wojna toczy się gdzieś w podświadomości, w głowach. I taka konieczność, moim zdaniem wynikająca z totalnej bezradności, pustki, braku perspektyw, która każe się w ten spo-

sób zidentyfikować, narodowościowo w tym przypadku, wyznaniowo w tym przypadku, daje wiele do myślenia. Tego typu konflikty, według mnie, nie wybuchają z niczego. To, co w tej chwili na przykład zaobserwowałem w Rosji, w Smoleńsku³: pogłębiająca się degradacja społeczeństwa, brak perspektyw, nędza – czyli wszystko, z czym mieliśmy do czynienia na Bałkanach, może być rozegrane w przeciągu ułamka sekundy, bo najlepszym sposobem odwrócenia uwagi od problemów życia bieżącego jest chwycenie za broń i jakaś mała zwycięska albo niezwykła wojenka.

IK: Czyli zanim media, a potem odbiorcy, najpierw rozgrywani są uczestnicy wojen, ludność cywilna?

WB: Te wojny tak naprawdę rozpętała ludność cywilna. Znajdowali się watażkowie miejscowi – sołtys, niesołtys – którzy podburzali, zagrzewali ludzi, mówiąc: słuchajcie, będzie wam lepiej, jeżeli tych brudnych muzułmanów stąd wygonimy, będziemy mieli więcej ziemi, pola uprawnego, bydło będzie się spokojnie pasać i tak dalej. A oni są obcym elementem, bo to muzułmanie, to jest napływ nam kulturowo obcy. Druga strona mówiła dokładnie to samo. Zbrodniarzami wojennymi w tym konflikcie zbrojnym nie byli tylko Serbowie, nie, zbrodniarze byli także po stronie chorwackiej, po stronie bośniackiej. Przy czym, ciekawe jest to, że o tych akurat zbrodniarzach mówi się znacznie mniej. Na rękę było światu, moim zdaniem – głównie Stanom Zjednoczonym – przedstawianie Serbów prawosławnych, czyli tych,

3 10-11 kwietnia 2018 roku Wiktor Bater ze Smoleńska relacjonował dla Telewizji Superstacja obchody ósmej rocznicy katastrofy polskiego samolotu rządowego Tu-154M.

których wspierała Rosja, jako *spiritus movens* konfliktu, który się rozpętał na Bałkanach, i tej niesamowitej rzezi, do jakiej tam doszło.

IK: Do swego rodzaju bezradności dochodzi chyba coś jeszcze – znudzenie wojną, obrazami wojny. To Susan Sontag przy okazji wojny na Bałkanach – którą widziała zresztą osobiście – pisała, że przyzwyczajamy się do widoku ludzkiego cierpienia, pytała, czy szok ma termin ważności⁴.

100

WB: Przyzwyczajamy się do wszystkiego, kiedy osiągamy jakiś stopień uległości z przekazu medialnego. W przypadku dziennikarzy, którzy pracują na wojnach, to okazuje się bardzo trudne. Dlatego, że jak coś szokuje, jakiś obraz, w ciągu pierwszych, powiedzmy, siedmiu dni, dwóch tygodni, miesiąca nawet, po miesiącu już na pewne rzeczy w ogóle nie zwracamy uwagi. To jest potworne, że nad śmiercią przechodzimy do porządku dziennego, nad śmiercią na wojnie. Jest wojna, wiadomo, muszą być ofiary. Niestety, muszą ginąć dzieci, muszą ginąć cywile, wojskowi. Proch, dym, brud, krew, łzy, i w pewnym momencie tego już się zupełnie nie dostrzega.

IK: Dziesięć lat temu pisał Pan w swojej książce, że wojny są modne. Nie ma Pan wrażenia, że obecnie wojny przestały być modne właśnie dlatego, że przyzwyczailiśmy się, że widzieliśmy już zbyt dużo? I dziennikarze, i widzowie.

WB: Książkę pisałem wtedy, kiedy portali internetowych było znacznie mniej, technologie były zupełnie inne. Wtedy obrazy wojny były w telewizji, a w tej chwili to się opatrzyło przede wszystkim z powodu Internetu, gdzie

znajdziemy to, czego nadawcy telewizyjnemu pokazać nie wolno. W telewizji cały czas mamy kodeks, który zabrania pokazywać drastyczne sceny. I bez względu na to, czy to jest przed 22. czy po 22., nie wolno. Zobowiązuje nas do tego ustawodawca. Oprócz tego epatować okrucieństwem po prostu nie warto, ale Internet przyzwyczał nas do tego, że im okrutniejsze i bardziej drastyczne sceny, tym więcej tak zwanych kliknięć. Tego nie było dziesięć lat temu. W tej chwili, gdy mamy do czynienia z wojną, to nie analizujemy, dlaczego wybuchł konflikt, kto jest jego stroną i tak dalej, tylko szukamy obrazów. Szukamy obrazów wojny. Po prostu.

IK: Może w takim razie potrzeba edukacji? Współczesny odbiorca pozostawiony sam na sam z obrazem niczego się nie dowie, nie nauczy...

WB: Obraz z Internetu jest bardzo często zafałszowany, daje wrywki, urywki, strzępy, które trudno sobie poskładać w całość, jeśli nie ma się oglądu realistycznego, ogólnego, tylko to są czyjeś emocje, frustracje, wylewane do Internetu. Takie fałszowanie jest szkodliwe nie tylko w odniesieniu do wojny, lecz odnośnie do wszystkiego tak naprawdę. Internet w pracy reporterskiej, dziennikarskiej jest szalenie przydatny, jeśli umie się z niego korzystać, a jeżeli się nie umie, to może zrobić więcej krzywdy niż przynieść pożytku.

IK: To co z edukacją? Szkoła wcale albo niewiele mówi o konfliktach zbrojnych, jakie miały/ mają miejsce po drugiej wojnie światowej.

WB: Może zbyt mało czasu upłynęło i to jeszcze jest za świeża historia,

4 S. Sontag, *Widok cudzego cierpienia*, przekł. S. Magala, Kraków 2016.

żeby weszła do podręczników? Chociaż powinno się o tym mówić. Zresztą od Bałkanów to jest już ponad dwadzieścia, prawie trzydzieści lat... Wyjściem z tego jest być może reportaż, jest kilku mistrzów reportażu na świecie, i filmowego, i literackiego. Dla mniej cierpliwych jest też zniechęcająca przez wielu telewizja, gdzie powstały bardzo cenne reportaże i o wojnie na Bałkanach, i o wszystkich późniejszych konfliktach. Ale tutaj wypada mieć nauczyciela i przewodnika, który powie: „To warto, tego nie warto”; bo samemu błędząc, można sobie zrobić krzywdę. Żeby tego problemu dotknąć i coś z tym dalej robić, to trzeba jednak poczuć ten syf, jakim jest wojna, a to bardzo trudne – dotknąć murów, dotknąć dziur po kulach, położyć gdzieś po ruinach i ocierać się o różnego rodzaju duchy i demony. To jest ciężkie doświadczenie.

Gdy uczyliśmy się o drugiej wojnie światowej, to zdecydowanej większości ludzi bardzo trudno sobie wyobrazić, że tego typu zbrodnie w ogóle były możliwe, że takie rzeczy miały miejsce. Ale kiedy analizujemy to, co się działo na Bałkanach, co się działo w Rwandzie, dostrzegamy, że w XX wieku, po drugiej wojnie, też to było możliwe... Brutalnie to zabrzmiało, ale historia uczy jednego: że nigdy niczego i nikogo nie nauczyła; człowiek pozostaje tylko człowiekiem, zwierzę zawsze z człowieka, w określonych warunkach, wychodzi. I potrafi nad człowieczeństwem zapanować. To jest szalenie niebezpieczne. I to warto wreszcie zrozumieć. Że tak naprawdę nikt nie jest ubezpieczony i zabezpieczony przed tego typu przeżyciami. Demony mogą wychynąć w każdej chwili, a Europa obecnie bardzo się radykalizuje i nie dam sobie głowy uciąć, twierdząc, że w cywilizowanej Europie

nie dojdzie do podobnych scen, jakie miały miejsce w czasie drugiej wojny światowej. Inaczej to będzie wyglądało, może bardziej w białych rękawiczkach, ale ten potwór w człowieku cały czas jest, drzemie i tylko czeka, żeby się ujawnić. Ja to, niestety, na każdej wojnie widziałem. W tym sensie druga wojna światowa wcale nie jest czymś odległym... Zmieniły się czasy, zmieniły się uwarunkowania, natomiast wciąż jesteśmy tacy sami i wywołać tego typu koszmary jest bardzo łatwo.

IK: A rola sztuki w tego typu edukacji? Widzi Pan dla niej jakieś miejsce?

WB: Ja jestem zwolennikiem dość drastycznej edukacji. Nie chodzi mi o epatowanie brutalnymi scenami, ale pokazanie, na ile, jak daleko może posunąć się odczłowieczenie, jak czymś wyjątkowo koszmarnym jest wojna, w której nie ma człowieka, w której są tak naprawdę – jak napisałem w swojej książce – tylko punkciki w lornetce tego, który obserwuje pole walki. On nie personalizuje wroga, to jest po prostu cel, który trzeba zlikwidować, cel... cel...

Widziałem kiedyś na Bałkanach kasety z nagraniami z pierwszych dni oblężenia Sarajewa, bardzo drastyczne. Nie zapomnę do końca życia tych nagrań, zwłaszcza jednego z nich, gdzie widać furgonetkę przewożącą chleb, która zostaje trafiona z granatnika, prosto w szoferkę. Ta płonie, kierowca prawdopodobnie ginie na miejscu, a z drugiej strony wyskakuje pasażer, kładzie się na ziemi. W furgonetkę znowu trafia granatnik, ale mężczyzna jest osłonięty od strony ostrzału. Leży za samochodem, udaje mu się przeżyć, jednak nie na długo, bo trafia go snajper. To było widać dokładnie na zapisie,

na długiej rurze tak zwanej, na dużym zbliżeniu, jak snajper się wstrzeliwuje w ofiarę – najpierw dwa, trzy strzały, które nie dosięgają celu, trafiają w furgonetkę, a potem już centralnie trafiają w tego człowieka. Z systematycznością, z zabójczą systematycznością snajper wsadza w niego pięć kul czy sześć. I na oczach kamery ten człowiek ginie. A potem płonie razem z furgonetką.

Filmy wojenne, komiksy, moim zdaniem, trywializują wojny, nie oddają jej w pełni. Choć mam swój ukochany film – *Czas Apokalipsy* Francisa Coppoli o wojnie w Wietnamie – który pokazuje ten obłęd i szaleństwo, czające się na wojnie, dopadające każdego, w różnych formach, w różnym stopniu, ale dosłownie każdego. I charakterystyczne jest to, że po wojnie uczestnicy wydarzeń wypierają własne wspomnienia, nie mówią o tym, nie przyznają się sami przed sobą, że byli zdolni do zbrodni, a byli zdolni. Mówienie o tym i dochodzenie prawdy, niezakłamywanie rzeczywistości – to jest szalenie ważne i to jest też rola dziennikarzy, żeby przede wszystkim o tym mówić, żeby nie zapomnieć, żeby choć nie do końca, nie w pełni realizowało się to, o czym powiedziałem, że historia nigdy nikogo niczego nie uczy. Jednak powinna uczyć, mimo że do tej pory to się nie sprawdza.

IK: Z tego, co Pan mówi, wynika, że rację mają ci, którzy twierdzą, iż wojny są nieludzkie. Co się dzieje z ludźmi w czasie wojny?

WB: Wojny są jak najbardziej ludzkie, bo tylko ludzie się tak bawią... Wojny znieczulają, osłabiają wrażliwość. Uodparniają na śmierć – na pewno. Na widok krwi. Ja z tym akurat nigdy nie miałem problemów, ale znam kolegów i koleżanki, którzy po jakichś tam przy-

godach wojennych stracili ten dystans, z którym wielu tak zwanych cywilów się boryka – wypadek samochodowy, masakra, krew, trupy. W moim przypadku wojny sprawiły, że na mnie obrazy śmierci w ogóle nie działają. Może to jest o tyle dobre, że – podobnie jak w przypadku ratowników medycznych, strażaków, policjantów – możliwość niesienia pomocy w ekstremalnej sytuacji jest znacznie łatwiejsza. Jest się w stanie zapanować nad zmysłami, które w normalnej sytuacji krzyczałyby: nie, nie, nie, nie, ratunku, nie.

Co robią wojny z ludźmi? W przypadku choćby Rosjan, bo o nich wiem najwięcej, znieczulają negatywnie, to znaczy znacznie osłabiają docenienie wartości życia. Dla Rosjan życie tak naprawdę dzisiaj jest, jutro go nie ma. To jest strasznie smutne, że bardzo często w Rosji jest właśnie tak, iż pozabawić kogoś życia to jest jak splunąć. To jest deprawacja, która bierze się między innymi z konfliktów – z Afganistanu w 1980 roku, przez który przemknęła bardzo duża część obecnie już dorosłego pokolenia, potem z Czeczeni i wszelkiego rodzaju innych akcji. Takie osłabienie przyjmowania wartości ludzkiego życia jest bardzo niebezpieczne, zwłaszcza gdy przenosi się na czas pokoju. Stąd wzięły się brutalne wojny mafijne choćby lat dziewięćdziesiątych w Rosji. Mówi się tam „burnyje diewianostyje”, czyli „burzliwe dziewięćdziesiąte”, kiedy eliminowanie konkurentów w biznesie, zakrojone na szeroką skalę, brało się między innymi z tego, że to byli w bardzo dużej mierze chłopcy, dla których zadziały się Afganistan, zadziały się inne wojenne historie i potem to już nie miało żadnego znaczenia, co się zdarzy. Jeżeli facet po wojnie w Czeczeni, najpierw jako po-

borowy, potem kontraktowy żołnierz wraca do domu z kompleksem stresu pourazowego, którym się w Rosji nikt nie zajmuje, bo tutaj wystarczy szklanka wódki, coś się nagle dzieje z chłopakiem, z dziewczyną, z tym, kto był na wojnie. Wojna zmienia, wojna znieczula i to potrafi być bardzo niebezpieczne znieczulenie.

IK: Czy wobec tego tak wysublimowane zjawisko jak sztuka, o której mówimy wyłącznie w sferze symbolicznej, może być antidotum na czas wojny?

WB: Na wojnie nie ma czasu na sztukę. Choć pamiętam moją drugą wyprawę na Bałkany, kiedy byliśmy w Pale, w otoczeniu Radovana Karadžicia i Ratko Mladicia. Oni w którymś momencie zorganizowali wernisaż malarstwa wojennego. Były tam wystawiane obrazki młodych ludzi, w wieku studenckim, którzy malowali swoje wojenne impresje. Goi ani Picassa to jakoś specjalnie nie przypominało, natomiast była to sztuka, która – tak tłumaczyli – pozwalała im przeżyć, przecierpieć szaleństwo wojny. Sam Karadžić pisał wiersze, czytał nam swoje poezje miłosne, bardzo piękne. Pamiętam, siedział przy kominku, człowiek uznany za zbrodniarza wojennego, jednego z największych zbrodniarzy XX wieku, czytając utwory, które sławiły przyrodę serbską, serbską kulturę, tradycję, historię. To były tak naprawdę jedyne chwile w czasie moich wojennych eskapad zetknięcia ze sztuką. A na własny użytek, szczerze powiem – nie, tam nie ma nawet czasu, żeby na przykład książki czytać. Zawsze brałem ze sobą coś do czytania, fajnego, ambitnego, ale nie było na to czasu ani głowy, ani ochoty nawet. Myśli zawsze były daleko od lektury.

IK: Rzeczywiście w Pana książce tych odniesień do sztuki jest mało. Pojawia się jedno odwołanie do Herberta, jedno do malarstwa Boscha. I brzmi muzyka Garbarka – w jakiejś piwnicy w Sarajewie... Ale Pan sam zajmował się muzyką. Nie było pokusy, żeby do muzyki, do wspólnego grania, śpiewu wracać w czasie wojny?

WB: Jako nastolatek pierwszy raz usłyszałem nagrane na kasetę magnetofonową czeskie piosenki z Praskiej Wiosny. Kolega przywiózł je z Monachium, z Radia Wolna Europa. Tam między innymi był utwór – podziękowanie dla tych, którzy nie dali się upokorzyć, to było po czesku, ale dużo można było zrozumieć. Wtedy pierwszy raz tak zwana piosenka zaangażowana mną wstrząsnęła. Bardowskie pieśni, piosenki, ballady towarzyszyły mi, ale bardziej w Polsce niż na wojnach, bo miały do Polski odniesienie, do Solidarności. Sam z tego powodu nauczyłem się grać na gitarze i kolportowałem te pieśni masowo i mniej masowo. W połowie lat osiemdziesiątych mieliśmy w ogólniaku [XLI Liceum Ogólnokształcącym im. Joachima Lelewela w Warszawie] muzyczne trio, ja grałem na fortepianie, koledzy na gitarach i tak trochę się poruszaliśmy w klimacie Gintrowski – Kaczmarek – Łapiński, śpiewaliśmy, jak nam się wydawało, dobre teksty, szliśmy w kierunku poezji zaangażowanej. Wybieraliśmy sobie wiersze Herberta między innymi, Artur i Andrzej pisali swoje kawałki, ja nie, tym akurat się nie skaląłem. Coś tam komponowaliśmy. Tak – ta muzyka była na każdej wojnie, jakieś strzępy tych piosenek, które sobie śpiewaliśmy, kołatały mi się w głowie w różnych momentach. Poza tym bardzo dużo muzyki było na co dzień na każdej wojnie i to pozwalało odrywać się od jej rzeczywistości.

Co ciekawe, pojawiała się często muzyka klasyczna i to w takich klimatach totalnych, irackich albo afgańskich na przykład. Słuchanie Chopina było tam czymś tak różnym od tego, co się działo, że pozwalało abstrahować od wszystkiego wokół w zasadzie. Ale innych odniesień nie było. My żyliśmy tak naprawdę tylko i wyłącznie chwilą, tym miejscem, w którym się poruszamy, i daleko od tego nie odchodziliśmy.

104

IK: Co w takim razie z pamięcią, z odtwarzaniem przeżyć już po wojnie? One przyjmują czasem formę sztuki. Jeśli reportaż zaliczyć do tej sfery, którą nazywamy dokumentem literackim, to czym było dla Pana pisanie/ napisanie książki?

WB: Książka to był pomysł bardziej moich przyjaciół niż mój na odreagowanie wojennych doświadczeń. Zdecydowanie była to autoterapia. Autoterapia, którą wymyślili dla mnie moi bliscy przyjaciele. Pamiętam rozmowę z serdecznym przyjacielem, ówczesnym szefem z telewizji, gdzie pracowałem, który powiedział mi: „Wiesz, my tutaj z właścicielami telewizji tak sobie pomyśleliśmy, żeby jakiegoś psychologa ci załatwić, jakąś terapię stresu”. Ja, oczywiście, chojrak, stwierdziłem: „Nie, nie, ja sobie z tym świetnie radzę”. Czas pokazał, że nie do końca sobie świetnie radziłem i w związku z tym różne rzeczy się działy, alkohol i inne używki pomagały zapomnieć doraźnie o przeżyciach albo je na krótko odreagować, a to się okazało, jak zawsze w takich sytuacjach, ciemnym zaułkiem bez wyjścia. Więc napisanie tej książki to była autoterapia, która pozwoliła poukładać sobie różne cegiełki i nie było to absolutnie pomyślane przeze mnie jako stworzenie dzieła sztuki. Musiałem odtworzyć w głowie i zrationali-

zować wszystko, przez co przeszedłem w życiu, co było ważne, co gdzieś tam, jakoś się odcisnęło. Bardzo dobrze, że to zrobiłem. Teraz jestem z tego zadowolony, że został po tamtych przeżyciach jakiś ślad. Mnie też się różne rzeczy zacierają, przecież nie pamiętam każdego słowa, które pisałem w książce. Bardzo sporadycznie, właśnie przy okazji takich spotkań, tak jak z panią, mam okazję wrócić do tamtego pisania i to wszystko ożywa. Teraz pozytywnie ożywa, nie traumatycznie.

IK: Zatytułował Pan swoją książkę *Nikt się nie spodziewał rzezi*. A skoro tak, to czego się Pan spodziewał, jadąc na swoją pierwszą wojnę?

WB: Nie spodziewałem się smaku, zapachu... Widoków też może czasami nie, ale przede wszystkim smaku i zapachu, tego się nie spodziewałem i to jest ze mną do dzisiaj. Smak wojny i zapach wojny. Zapach śmierci – i nie mówię o zapachu rozkładających się ciał, nie mówię o zapachu gnijącego mięsa, brutalnie rzecz ujmując, słodko-kwaśnego, ale mówię o zapachu śmierci, który jest absolutnie nie do oddania. Mówię o przerażeniu wiszącym w powietrzu. Mówię o specyficznym smaku w ustach, który się niespodziewanie pojawia – być może jest on wywołany adrenaliną, być może jakoś fizjologicznie trzeba to tłumaczyć. Natomiast zdjęcia, filmy nie oddają tego.

IK: A wyobrażenia, które poprzedzały wyjazd na wojnę? Przecież musiał Pan myśleć o tym, co i jak tam będzie.

WB: Miałem dwadzieścia sześć lat, kiedy tam pojechałem, byłem gówniarzem, który nigdy w podobnych sytuacjach nie był. To była młodzięcza husaria: ach, pojechać, zobaczyć. Przy-

goda. Wcześniej miałem okazję zwiedzić praktycznie cały świat, a to było coś nieznanego, fantazja, która mnie poniosła. Tak, oczywiście, myślałem i zastanawiałem się nad tym, co będzie. To trudne, zetknąć się ze śmiercią twarzą w twarz, tak jak za tym domem. Pierwszy dom spalony, wioska, chata, w której leżą zrzuczone ciała. To jest straszne uderzenie po wszystkich zmysłach, ale z drugiej strony jest coś takiego, że w danej chwili się o tym w ogóle nie myśli, włącza się jakiś automat, który każe funkcjonować, który wyostrza zmysły, który każe analizować ewentualne zagrożenia. Tylko że to potem wraca obrazami – na przykład przed snem, w nocy, w zupełnie pokojowych momentach. Tak naprawdę, to się w takich ekstremalnych sytuacjach funkcjonuje na kompletnym autofokusie. I tego nie wiedziałem, tego nie wiedziałem, bo niby skąd miałem wiedzieć.

IK: Gdyby Pan wiedział, to by Pan nie pojechał?

WB: Jasne, że bym pojechał.

IK: Nie słyszałam, żeby któryś z dziennikarzy, korespondentów wojennych powiedział: nie pojechałbym... nie pojadę...

WB: Tak, czytam teraz książkę fotoreportera „Sunday Timesa” Paula Conroya⁵ – jego wspomnienia z początku wojny w Syrii. Facet, który mieszka w Londynie, trafił na różne wojny jako fotoreporter, potem osiągnął stabilizację, w ogóle nie myślał o wojnach i nagle „Sunday Times” zaproponował mu wyjazd do Syrii. On momentalnie rezygnuje z całej osiągniętej stabilizacji, rodziny, wszystko stawia na szali. To jest

chyba najbardziej trudne właśnie dla rodzin korespondentów wojennych. Skoro nawet samemu sobie niełatwo pewne decyzje wytłumaczyć. Ja próbowałem w różnych momentach jakoś to sobie wyklarować... Uzależnieniem od adrenaliny? Nie, to nie jest to, to nie jest tak. Powiem szczerze, mnie śmieszają takie napuszone słowa o misji, że coś trzeba pokazać, że świat powinien się dowiedzieć. Świat się dowie – i co z tego? „Świat się dowiedział, nic nie powiedział. Janek Wiśniewski padł”. Jest coś takiego w tym smaku i w tym zapachu, o których mówiłem, że to mocno uzależnia... W moim przypadku chodziło głównie o to, by pokazać, że konflikty wojenne nie są czarno-białe. Nie chodziło o misję, nawet nie o ujawnienie cierpień ludności cywilnej, bo wiadomo, że na każdej wojnie oprócz prawdy, niewinności, pierwszą rzeczywistą ofiarą jest ludność cywilna. Przede wszystkim chciałem pokazać, że nic nie ma tonacji czarno-białej, że fałszywe są przekazy mówiące w jednym momencie: tu źli Serbowie, tu niewinni Bośniacy, tu źli Rosjanie, tu niewinni Czeczeńcy, brudna Alkaida, Afganistan, a tu dobrzy wyzwoliciele ze Stanów Zjednoczonych. Po jakimś czasie to wszystko okazywało się mocno dęte, napuszone i zupełnie inne aniżeli propagandowe hasła. Dla dziennikarza to jest największa trudność – pokazywanie tego. Trudność i pułapka, w którą wpada wielu reporterów, decydujących się na przekazywanie klarownego obrazu konfliktu. Zarzucano mi wielokrotnie, choćby w przypadku konfliktu czeczeńskiego, że jestem strasznie prorosyjski i że przecież czeczeńskie dzieci, czeczeńscy cywile... ach, ta niewin-

ność czeczeńska, karnawał wolności 1994 roku – takie piękne, jakaś kolejna republika radziecka dąży do wyrwania się z łap Moskwy i to jest takie fantastyczne. Nikt wtedy nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie siły to wszystko rozgrywają. Więc potem mieliśmy Dubrowki i Biesłany, i inne konsekwencje tego zachwytu czeczeńską wolnością. Miałem przyjaciół dziennikarzy, z którymi rozkminialiśmy tę sprawę i spodziewaliśmy się, że poparcie świata dla Czeczeni w którymś momencie wróci totalną czkawką. I wróciło. Wróciło. Ale ta łatwość w ferowaniu wyroków mnie przeraża. Ostatni przypadek – Siergieja Skripala w Salisbury pod Londynem. Dla nikogo nie ma wątpliwości, że otruli go Rosjanie. Skoro jednak jest taka jednomyślność, to znaczy komuś jest to na rękę.

Inny przykład, wspomniany już w naszej rozmowie: ostatni atak chemiczny w Syrii. Jasny przekaz: Asad, chlor. Ale okazuje się, że nie do końca chlor, a jeżeli chlor, to dlaczego na zdjęciach, które są pokazywane, ratownicy z Białych Hełmów myją głowy dzieciom wodą? Jeżeli gaz, jakim jest chlor, zmywa się wodą, wydziela się kwas, który powinien te dzieci zabić – a tu się okazuje, że nie. Mało tego – ratownicy myją dzieci rękami bez rękawiczek. Dalej – na teren skażenia weszli jacyś dziennikarze, a jeżeli tak, to oni powinni za miesiąc umrzeć w cierpieniach. Więc wątpliwości jest bardzo dużo. Jednak pytania zadają sobie tylko specjaliści. One są niepopularne, natomiast ferowanie wyroków jest elementem gry propagandowej, prowadzonej przez każdą ze stron każdego konflik-

tu. W przypadku Syrii od razu powiedziano: Asad, Rasjanie. Tylko że klocki do siebie nie pasują. A ofiary są.

IK: Mówimy cały czas o wojennej destrukcji – o rzeczywistych ofiarach, o zabitych, ale także o dewastacji jednostkowej psychiki, moralności. Jednak wojna – paradoksalnie – może też zrodzić pozytywne wartości i uczucia. Mam na myśli Pańską przyjaźń z Arturem Łukasiewiczem, operatorem. Pan Artur opowiedział kiedyś historię niewidzialnej jedwabnej nici, jaka Panów połączyła na wojnie właśnie⁶. Jak to jest z Pańskiej perspektywy?

WB: Artur jest moim bratem z krwi i kości. Połączyła nas jedwabna nić przyjaźni właśnie na wojnie. Poznaliśmy się w 2001 roku, miesiąc po ataku na WTC, kiedy Stany Zjednoczone zaatakowały Afganistan. Koledzy z telewizji siedzieli w Pakistanie, ja przyleciałem do Karaczi, oni byli w Islamabadzie. Producent Karol odebrał mnie samochodem z lotniska. I tego wieczoru poznaliśmy się z Arturem, już wiedząc, że będziemy razem przedzierać się do sąsiedniego Afganistanu. Poszliśmy wszyscy na obiad i trafiliśmy do jakiegoś hotelu, gdzie był bar z alkoholem (do którego nie wolno miejscowym wchodzić, przed wejściem trzeba wypełnić deklarację, że jest się wyznania niemuzułmańskiego, numer paszportu, imię i nazwisko, i tak dalej). Weszliśmy tam we trzech, a w środku siedział Wania z Moskwy, mój serdeczny kumpel z rosyjskiej telewizji i cała masa innych dziennikarzy. Tam piją, palą ci korespondenci strasznie. „Witja! – mówi. – Chłopaki, misja samobójcza do Afganistanu, sami nie dojedziecie!” Szybko więc nabraliśmy szklankami odwagi, stwierdziliśmy,

6 A. Łukasiewicz, *Alfabet korespondenta*, w: D. Kowalska, W. Rogacin, *Korespondenci.pl. Wstrząsające historie polskich reporterów wojennych*, Warszawa 2014, s. 159-160.

że dojedziemy. Dojechaliśmy, oczywiście, i potem zaczęliśmy tkąć tę swoją jedwabną nić z Arturem. Dla niego Afganistan to była pierwsza wojna. Ale natychmiast pojawiło się zrozumienie zagrożenia, zrozumienie wzajemnej zależności od siebie – to zrobiło swoje, to właśnie była nić, która potem cały czas się za nami ciągnęła i która nas wiązała ze sobą i w Izraelu, i w Libanie, i w Białym, i w górach tureckiego oraz irackiego Kurdystanu, i w jeszcze innych miejscach. Takie: rozumiemy się bez słów, on wie, co ja chcę powiedzieć, a ja wiem, co on mi pokaże pod to, co mówię. I obaj mieliśmy pewność, że jeśli cokolwiek się stanie, to ja murem za jego plecami, a on murem za mną. To strasznie ważne.

Taka nić to jest też budowanie sobie bezpieczeństwa, myśmy sobie je zbudowali – wzajemne zaufanie, poczucie, że w każdej chwili możemy na siebie liczyć. Jednocześnie następowały momenty odpoczynku, kiedy chciało się wyabstrahować od tego wszystkiego, co nas otacza, no i dzielimy się ze sobą wszystkim, dosłownie wszystkim. To się rzadko zdarza, jeżeli w ogóle. A nam się coś takiego zdarzyło i to jest braterstwo – Brothers in Arms – braterstwo broni, dziennikarskie.

IK: Wyobrażam sobie, że taka przyjaźń może się pojawić, sprawdzić się jedynie w ekstremalnej sytuacji. To znaczy, że wojna mówi także coś pięknego o człowieku... A jak wygląda dziennikarska codzienność? Pogoń za newsem, rywalizacja?

WB: To jest wyścig szczurów, każdy ciągnie w swoją stronę. Wspieramy się w takich sytuacjach, kiedy jest zagrożenie, wtedy jesteśmy razem, ale wyścig po tak zwanego newsa jest najważniejszy i w tym momencie nie dzielimy

się informacjami. Ktoś się dowiedział, że gdzieś doszło do jakiejś masakry, zbrodni, ostrzału, leci sam i myśli wyłącznie o tym, żeby się nikt więcej o tym nie dowiedział. Każdy chce mieć wyłączność. Kiedy panuje rutyna wojenna, to nie istnieje wsparcie.

IK: Trochę się Panu dostało za to, co Pan napisał na ostatniej stronie swojej książki: że większość dziennikarzy jedzie na wojnę, by zaistnieć, by zdobyć nagrodę. Krzysztof Mroziewicz stwierdził, że to cyniczne. Andrzej Kaliszewicz – że to błaznowanie. Ale z drugiej strony mówi się o tak zwanej turystyce wojennej, o celebrytyzmie wojennym – dziennikarzy właśnie.

WB: To było przed epoką mediów społecznościowych, teraz to wygląda zupełnie inaczej. Ale wtedy tak, było trochę takich ludzi, nie tylko w Polsce, na całym świecie, którym się wydawało, że na wojnie można sobie zrobić nazwisko. I to była bezmyślna kompletnie husaria, która naraża nie tylko zainteresowanego, ale całą ekipę. Ryzykowna pogoń za newsem, która wielokrotnie kończyła się tragicznie. Tak było w momentach, gdy wojna robiła się modna. Warto było wtedy być w mainstreamie, warto było się pokazać. To jest szalenie niebezpieczne, gdy na wojnę jadą ludzie, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, na co się porywają. Przyznaję: dokładnie tak samo jak w moim przypadku w 1992 roku, kiedy jechałem kompletnie nieprzygotowany mentalnie, bo sprzętowo – jakąś kamizelkę kuloodporną, coś tam miałem. Ale człowiek nawet nie wie, kiedy ją zakładać, jak się poruszać, jak szybko biegać, gdzie biegać, gdzie padać, z kim rozmawiać, jak rozmawiać – to są kluczowe sprawy. Bez nich można bardzo szybko narazić się na gniew, na chęć

odwetu – i zrozumienie tego jest największą sztuką.

Zdarza się, że na wojnę jadą ludzie, którzy sobie wielką krzywdę wyrządzą tym, że tam się wybrali. Potem nie mogą się z tego pozierać, nie mogą się otrząsnąć. To jest bardzo niedobre, taka turystyka – ja ją czasem nazywam harcerstwem wojennym. Tak, to było popularne i prawdopodobnie kwitnąć będzie, bo na wojnie można sobie jakoś zrobić nazwisko. Zjawisko bardzo niebezpieczne.

IK: Ale niebezpieczne dla odbiorcy także. Bo otrzymuje przekaz nierzetelny, czasem zmanipulowany nieświadomie, a czasem wręcz przekłamany.

WB: Oczywiście, bo bardzo często jest to też niepoparte jakąkolwiek wiedzą na temat miejsca, do którego się jedzie, na temat genezy konfliktu, tego, o czym się mówi. Wydaje się, że to będzie samograj, będziemy pokazywać strzały, będziemy pokazywać śmierć. Nic bardziej mylnego. Z tego właśnie rodzą się nieprawdziwe obrazy i powstaje mylne pojęcie o istocie tego, co się dzieje. Przecież nie chodzi o pokazywanie krwi i śmierci, tylko o ujawnienie, gdzie to się rodzi. I w jaki sposób konflikt się rozwija, eskaluje jak kula śnieżna.

IK: Przykłady tej niewiedzy podawał Pan w artykule w „Blizie”. Tam chodziło o Ukrainę, gdzie demaskował Pan kompletną ignorancję reporterów, komentatorów. Widz nie zawsze to dostrzega, rozumie. Przyjmuje relacje za dobrą monetę.

WB: Fałszywy przekaz wynika z niewiedzy, ale wynika też z podświadomości, że jeżeli jakaś tam strona pokazuje ci z narażeniem własnego życia rzeczy absolutnie ekskluzywne, i ta strona

opiekuje się tobą oraz udziela ci wszelkiej pomocy, to w pewnym momencie następuje coś takiego jak syndrom sztokholmski, że zaczynasz się identyfikować się z tą właśnie stroną, zaczynasz współczuć szczerze i to jest pułapka, w którą można się łatwo złapać. To tak jak byłem w Sarajewie – najpierw w środku, potem na zewnątrz. Wiedziałem, że ludzie, którzy się dziennikarzami opiekują, pomagają wniknąć w struktury władzy, otwierają korytaryze, dostępy, robią to też w określonym celu. Tutaj trzeba mieć duże wyczucie cwaniactwa, którym posługuje się każda strona konfliktu, bo każda dąży, żeby pokazać się na zewnątrz jako ta jedynie prawa, jedynie słuszna. I nie zawsze, nie wszyscy potrafią zdać sobie z tego sprawę, że trzeba rozdzielić te granice. Wiedziałem dziennikarzy w Czecheni, zachodnich dziennikarzy, którzy bardzo się łapali na gościnność Czechenów, na ich zaangażowanie, na (w ich mniemaniu) otwartość, ryzykanctwo w tym, co chcieli im pokazać, by udowodnić, że to Rosjanie są ci paskudni i źli, i którzy nie potrafili wyabstrahować z tej rzeczywistości jakiejś prawdy. Jeżeli filmowano czecheńskie dzieci i rodziny, pozabijanych cywilów, to jasne, coś takiego trzeba ujawniać. Tego strona rosyjska nie pokazywała, to starała się przemilczeć, a jednocześnie posuwano się za daleko w relacjach, to znaczy robiono z Rosjan Trzecią Rzeszę na Kaukazie, która weszła z całą potęgą militarną, żeby spacyfikować niewinny naród. Zapominano wówczas o genezie konfliktu, czyli o ogromnych machinacjach finansowych, które łączyły jedną i drugą stronę, o tym, że tak naprawdę w dużym stopniu to się wiązało z przecięciem potoków finansowych przez Dudajewa, o takim zjawisku, jak

czeczeńska mafia, która wyrosła z Republiki Czeczeńskiej i oplotła swoimi mackami niemalże całą Rosję. Więc obraz, który przekazywano – czarno-biały – był absolutnie zakłamany. Ale jasne, że pokazywanie masakry ludności cywilnej i przemilczanie jej przez drugą stronę też nie służyło prawdziwości przekazu, w związku z czym ten wojenny brud do każdego musiał przylgnąć i przylegał.

IK: Zdarzają się przypadki, gdy dziennikarze świadomie kłamią, wspierając jedną stronę?

WB: To kolejna trudna sprawa. Na przykład w konflikcie czeczeńskim, o którym mówimy, to tak, oczywiście, że tak, podatni na propagandę i na służbę propagandzie byli rosyjscy dziennikarze. Widzieliśmy to wszyscy. Ich przekaz był absolutnie czarno-biały: my, wielka sprawiedliwa Rosja i ten brudny zaulek Ziemi, jakim jest Czeczenia. Czyli też kompletne zakłamanie. Ale to są przede wszystkim dziennikarze, którzy identyfikują się z którąś ze stron konfliktu. Albo rosyjscy, albo czeczeńscy. Albo serbscy, albo bośniaccy, albo chorwaccy. Zagraniczni dziennikarze z reguły starali się jakoś wypośrodkować to wszystko, najczęściej z miernym skutkiem. I przekazy rzeczywiście były takie, jak przekazy w światowych agencjach. Na przykład o tym, że w Iraku nie znaleziono broni masowej zagłady, tak naprawdę nikt nie mówił, choć my cały czas trąbiliśmy o tym w naszych relacjach z Iraku: Okey, ale tam miały być zniszczone ogromne składowiska broni masowej zagłady! Gdzie to jest? Z biegiem lat się okazało, że CIA zrobiła raporty tylko i wyłącznie po to, żeby dać pretekst do zaatakowania Iraku, obalenia autorytarnego reżimu Saddama Husajna. Cześć im i chwała,

ale otoczka tego była zupełnie inna: działamy w imię światowego interesu, a nie w imię amerykańskich interesów w tamtym regionie kraju na Bliskim Wschodzie. A w istocie o to chodziło.

IK: W 2008 roku głośna była sprawa konfliktu, jaki powstał w TVP w związku z Pańskimi relacjami z Gruzji. Były w to zamieszczone polityka, ideologia, sympatie ówczesnych polskich władz... Komentatorzy są podzieleni. Ale wielu podziwia Pana za to, że nie dał się Pan wówczas złamać.

WB: Albo są fakty, albo tych faktów nie ma i je sfałszujemy. Nie ma czegoś takiego, że jest moja prawda, twoja prawda, albo gówno prawda. Są fakty takie, jakie są, i my je przedstawiamy bez ustosunkowywania się do nich. Ja nie mówiłem tego, że na przykład Gruzini, zaczynający ostrzał Południowej Osetii, to bandyci. Bez ocen. Dziennikarz oceniać nie powinien. Niech oceny pozostawia odbiorcom. Natomiast chronologia zdarzeń i faktografia są podstawowe. Jeżeli mówimy o wojnie w Gruzji, to klimat panujący tam w 2008 roku był taki, a nie inny. Wiadomo było, że Gruzja naszym przyjacielem jest, Rosja wrogiem naszym największym jest, i tak ma być, i tak to przedstawiamy, i niczego dobrego o Rosji mówić nie wypada, a wręcz nie wolno, jak się okazuje. A gdy się mówi o tym, że Gruzini dopuszczali się wręcz zbrodni wojennych, atakując Cchinwali, stolicę Osetii Południowej, to takie reportaże lądują, tak jak było w moim przypadku, gdzieś na półce w TVP i nie mają prawa się ukazać na antenie, a potem dziennikarz jest zawieszany na ileś tam miesięcy, w konsekwencji zwolniony, bo to niepolityczne było. Ale to było jedyne takie nieprzyjemne w mojej karierze przeżycie z ówczesną

Telewizją Polską w 2008 roku, z którą się z sukcesem rozstałem pół roku później. Natomiast w żadnym innym miejscu pracy nie miałem nawet prób tego typu nacisków, żeby przedstawiać fakty innymi niż one są. Pamiętam na przykład w latach dziewięćdziesiątych, gdy pracowałem dla Polskiego Radia, i gdy Czeczenów oraz Czeczenień większość zdecydowana środków masowego przekazu przedstawiała jako niewinną ofiarę rosyjskiej agresji, to nikt nie knebłował mi wówczas gęby ani pióra, nie zabraniał mówić o czeczeńskich zbrodniach na rosyjskich żołnierzach. A było ich też bez liku. To wyglądało tak, że oczywiście, siła i potęga były po stronie rosyjskiej, ale stopień okrucieństwa, jeśli nie zezwierzczenia, był dokładnie taki sam po jednej i po drugiej stronie. A to, że muzułmanie nie piją alkoholu, tak jak rosyjscy żołnierze, którzy się znieczulają i wtedy dopiero są w stanie pokazać, że są ho, ho, niejeden wypruwając flaki, gwałcąc i mordując wszystko, co się rusza i na drzewo nie ucieka, to nie znaczy, że tego nie dopuszczają się naćpani narkotykami i podobno bardzo wierzący muzułmańscy bojownicy. Ale to jest wojna, ta brudna wojna, która na tym polega. Ja najczęściej w odwecie słyszałem odpowiedź, że to Rosjanie mordują ludność cywilną. Tylko że ci drudzy, gdyby tylko mieli możliwość, mordowaliby rosyjskich cywilów. Czego się zresztą dopuścili, organizując niejeden zamach terrorystyczny już później, na terenie Rosyjskiej Federacji. Jaka jest różnica? Tylko i wyłącznie w skali. Ale skala, jeśli chodzi o okrucieństwo, zezwierzczenie, nie ma żadnego znaczenia. W związku z czym takie tracenie dystansu i wartościowanie od samego początku, kto jest dobry, kto jest zły, nie ma żadnego

sensu na żadnej wojnie. Przymykanie oczu na zbrodnie jednej strony i gloryfikowanie jej oraz piętnowanie drugiej do końca i w ciemno, to jest największy błąd, jaki popełniają dziennikarze, i pułapka, w którą bardzo często wpadają.

IK: Tadeusz Mazowiecki, który był specjalnym sprawozdawcą ONZ do spraw przestrzegania praw człowieka w Serbii, napisał w 1995 roku w raporcie ze Srebrenicy, że dziennikarze podlegający do zbrodni ponoszą za nią część odpowiedzialności politycznej, a powinni karnej...

WB: Nastawienie Serbów do zachodnich reporterów było od samego początku jednoznaczne, dlatego, że oni relacjonowali konflikt na Bałkanach w sposób jednoznaczny, w związku z czym Serbowie wychodzili z założenia, że nie będą z nimi współpracować, bo oni kłamią, z kolei dziennikarze mówili – no, my nie będziemy z Serbami współpracować, bo oni będą chcieli nam sączyć swoją jadovitą propagandę, oni kłamią. Natomiast jeśli się miało tyle szczęścia, jak my mieliśmy w 1993 roku, żeby pojechać zarówno do Sarajewa, jak i na tę drugą, serbską stronę konfliktu, to ten obraz się zmieniał, okazywało się, że i tu, i tu żyją ludzie, i tu, i tu mają dusze, cierpią i jedni, i drudzy. Machina wojenna, wsparcie, jest z jednej strony większe, z drugiej słabsze, ale zbrodnie po jednej i po drugiej stronie są dokładnie takie same. A trup się ściele równie gęsto z jednej i z drugiej strony. Przy czym oczywiście ze strony bośniackiej bardziej masowo, bo to była ta strona mniej zmilitaryzowana – oni nie byli tak uzbrojeni, nie byli tak zorganizowani jak Serbowie. Ale to było jasne, bo Serbowie w byłej Jugosławii rządili.

Tak, jest w tym wszystkim jeszcze coś takiego jak źle pojęta empatia.

Współczujemy, ale nie rozumiemy i nie wiemy dlaczego.

Jednocześnie chciałbym być sprawiedliwy: większość dziennikarzy ma swoje zasługi, większość miała coś swojego do przekazania.

IK: Pytam tyle o tę nieodpowiedzialność, o zakłamywanie rzeczywistości, ponieważ korespondentów wojennych uważa się za elitę, za arystokrację wśród dziennikarzy. Co raczej zobowiązuje do przestrzegania jakichś szczególnych standardów...

WB: Nie, ja tego nie traktuję jako bycie elitą. Po prostu mieliśmy swój kawałek podłogi, który zagospodarowaliśmy, mieliśmy taką możliwość, mieliśmy taką szansę i jakoś realizowaliśmy się w tym. Wcale nie uważam, że jesteśmy w czymkolwiek lepsi od reporterów sejmowych na przykład. Jest to zupełnie inna praca. Reporter sejmowy nie znalazłby się i nie odnalazłby się zapewne na naszym miejscu, tak samo byłoby prawdopodobnie w drugą stronę. Nie odnaleźlibyśmy się w tych dziedzinach, w których pracują oni. Każdy dziennikarz ma swoją drogę, którą sobie obrał, w której zaczął się realizować, i mówienie o tym, że jest się elitą, to jest, moim zdaniem, skrzywione spojrzenie.

IK: To może inaczej: Wojtek Jagielski w programie *Wojtek Jagielski na żywo* nazwał Pana godnym zazdrości superbohaterem z amerykańskiego komiksu⁷... Czuje się Pan dobrze w takiej roli?

WB: Nie. Cóż za bohaterstwo, tak mi się życie poukładało i tak się moja droga zawodowa poukładała, że to akurat była ta nisza, w której się poczułem u siebie. To z bohaterstwem nie ma nic

wspólnego. Niestety, jakby to brutalnie nie zabrzmiało, jedni mają więcej, drudzy mniej szczęścia, jedni wracają, inni nie. Ja wróciłem.

A jeśli chodzi o program – to jest pewna konwencja. Nie protestuję w takich momentach. Wojtek chce to prowadzić w ten sposób, to bardzo proszę, nie mam nic przeciwko temu, nigdy nie ingeruję w sposób prowadzenia programu. Myślę, że Wojtkowi chodziło wyłącznie o to, żeby zacząć rozmowę w jakiś w miarę przystępny i atrakcyjny sposób. Nie doszukiwałem się tutaj drugiego dna. Podobnie było, gdy wróciłem z Afganistanu, u Tomka Lisa w *Faktach*. Nasza rozmowa kończyła się żartem prowadzącego: „Superwiktora dla Wiktora”. Może chodzi o to, żeby trochę rozluźnić atmosferę, rozmawiając o czymś bardzo trudnym. Generalnie ogląd laika jest taki: skoro ktoś bywał na wojnach i widział trochę śmierci i różne inne rzeczy, jest zupełnie inny niż ja – jest megaodważny. Nie, to nie w tych kategoriach.

IK: Ale czy nie jest też tak, że dziennikarze, którzy uważają się – jednak – za lepszych, i w nas, zwykłych widzach, wywołują poczucie winy, że nie robimy nic poza przyglądaniem się cierpieniu innych ludzi, to co gorsze, wykorzystują także swoją przewagę nad ofiarami wojen, choćby podejmując decyzję, kogo i jak pokazywać na fotografiach, w filmach. Martwych żołnierzy, dziennikarzy, tłumaczy nie wolno, nawet wtedy, gdy zamażemy albo odwrócimy twarz tak, by była niewidoczna, miejscowych zaś pokazuje się bez cenzury, więcej – bez empatii wobec ich rodzin i bez szacunku dla ich prawa do zachowania intymności w chwili śmierci.

7 *Wojtek Jagielski na żywo*, 23 lutego 2017 [rozmowa z Wiktorem BATEREM], Telewizja Superstacja, <http://www.superstacja.tv/program/wojtek-jagielski-na-zywo-wiktor-bater,6550995/> (dostęp 2 lipca 2018).

WB: To jest ciężki temat. Problem, ponieważ wtedy jeszcze, kiedy nie było mediów społecznościowych tak rozpasanych jak dzisiaj, powszechnie wychodzono z założenia – przyznaję, my też – że nie należy pokazywać drastycznych scen z udziałem w cudzysłowie „naszych”, a „ich” można, bo przecież oni tego nie obejrzą. To jest myślenie innymi kategoriami, bo uważa się, że w egzotycznych krajach tak zwany biały to jest uczestnik zachodnioeuropejskiej czy zachodniej generalnie cywilizacji, reprezentant wszystkich jej zdobyczy, który niesie kaganek wolności, demokracji, a cała reszta to dzikusy, wszyscy tacy sami. To jest myślenie jeszcze z czasów kolonialnych, niestety, ono zostało gdzieś w podświadomości. Przecież oni nawet nie mają anten satelitarnych, więc tego nie zobaczą.

Tak to było i chyba trochę jest, że nie zwracamy uwagi na to, kogo pokazujemy z drugiej strony jako uczestnika konfliktu. Dyskryminacyjne? Owszem, tak. Rasistowskie? Być może, podświadomie. Ale przede wszystkim wynikające z tego, że to tych ludzi tak naprawdę nie dotknie, bo oni tego po pierwsze – jak wspomniałem – nie zobaczą, a po drugie – jeżeli zobaczą, to są już tak obeznani i przyzwyczajeni do tego typu obrazów i tego typu postępowania, że dla nich to nie ma znaczenia. Jest to skrzywienie i z tym się zgadzam, ale przyznaję się, że my też ten grzech popełnialiśmy, w naszych relacjach pokazując często twarze, których być może w naszych realiach – „białych” – byśmy nie pokazali. Trochę tak.

IK: A śmierć dziennikarzy? Elity – która uprzywilejowana zostaje także poprzez śmierć własną? Inną? „Lepszą”?

WB: Również trudny temat. Dlatego że oczywiście, dla każdej redakcji, dla kolegów, przyjaciół, bliskich, dla każdego dziennikarza, który ginie w takich okolicznościach przyrody, jaką jest wojna, to jest coś, co się nie zdarza na co dzień, i jest to coś, o czym wszyscy będą głośno mówić. Nie zwraca się uwagi na inny aspekt: że w wielu przypadkach taka śmierć była trochę na własne życzenie, to znaczy musiało nastąpić totalne zaniedbanie jakichkolwiek przepisów BHP, obowiązujących na wojnie, takie na siłę gonienie za newsem, za cenę swojego życia, które było rzeczywiście składane na ołtarzu wspomnianej już newsowości. I o tym, oczywiście, nikt nie powie. Śmierć dziennikarza służy wyłącznie podkreśleniu brutalności wojny, brutalności tego, co się bierze ze zdziczenia jednej, drugiej i trzeciej strony tego konfliktu. To jest trudne przede wszystkim dla samych rodzin tych dziennikarzy, którzy giną, ale to już jest zupełnie inna kwestia.

IK: Jest trudne dla rodzin dziennikarzy, ale inni też mają rodziny i śmierć bliskiej osoby, która ginie na wojnie, jest dla każdej rodziny bardzo trudna.

WB: Tylko że śmierć dziennikarza to jest śmierć nieanonimowa, w świetle jupiterów, inaczej niż anonimowa śmierć, z jaką mamy najczęściej do czynienia na wojnie. Dziennikarz to jest ten człowiek, który był u nas jeszcze wczoraj w domu za pośrednictwem telewizora, a dzisiaj już go nie ma. I chylimy przed nim czoła.

IK: Myślę, że pochylenie czoła należy się wszystkim, którzy podczas konfliktu w bezsensowny sposób giną... Może nie mam racji, ale dziennikarz jedzie na wojnę z własnego

wyboru, a są tam ludzie, którzy nie chcą, którzy w tym miejscu się znajdują przez przypadek, ta wojna ich dopadła bez ich woli, więcej – i wiemy to dzisiaj, uczestnicząc w dyskusji o uchodźcach, że nie mają dokąd przed nią uciec. Być może ich śmierć jest bardziej okrutna aniżeli tych, którzy tak ofiarnie wychodzą jej naprzeciw. Nierzadko słyszę dziennikarzy, którzy mówią: tak, jestem przygotowany na śmierć.

WB: W gruncie rzeczy nikt nie jest przygotowany na śmierć. Są to też bzdury i mity, które się pojawiają wokół korespondentów wojennych.

IK: Sami to mówią...

WB: Sami to mówią, bo nie chcą wyjść na idiotów, którzy jadą i nie wiedzą, na co się porywają. Więc mówią, że z tym się liczą. Nie, nikt się nie liczy ze śmiercią, każdemu z nas się wydaje, że jest nieśmiertelny i niezniszczalny, że kule padają wszędzie wokół, ale nie dosięgną mnie, że odłamki będą przełatywać nad moją głową, będą trafiać wszystkich innych, tylko nie mnie, bo – powtórzę – ja jestem nieśmiertelny. I przyznaję, że ja też chciałem w to wierzyć. Bo wiara w taką niezniszczalność bardzo pomaga. Ona bardzo pomaga walczyć ze strachem, szczególnie jeśli się przestrzega jakichś tam kanonów zachowań w sytuacjach zagrożenia. Takie myślenie jest zresztą w każdym z nas, gdy myślimy o chorobie, jakimś

nieszczęściu. One nigdy nie spotykają nas, zawsze kogoś innego... I to się kompletnie niczym nie różni. Oczywiście, nic bardziej mylnego, co niestety, udowodnione zostaje bolesnym doświadczeniem.

IK: Czy obecność kobiet na wojnach, dziennikarek, może je uczynić mniej brutalnymi? Krzysztof Mroziwicz napisał o Swietłanie Aleksijewicz⁸ „korespondentka antywojenna”, Miłada Jędrzyk⁹ mówi, że nie widziała na wojnie scen zabijania, nie widziała martwych ludzi...

WB: Spotykałem korespondentki wojenne na różnych frontach. Marie Colvin¹⁰ była taką prawdziwą frontową dziennikarką z krwi i kości. Nie mam co prawda wśród swoich znajomych korespondentek, nigdy się nie kolego wałem z żadną z tych pań, bo to dość specyficzne towarzystwo. Być może to się brało stąd, że to były jeszcze te czasy, kiedy *Me Too*, równouprawnienie nie były na porządku dziennym i faceci rzeczywiście podchodzili do kobiet na froncie trochę z przymrużeniem oka, niesłusznie zresztą. Ale trochę też one same sobie na to zapracowały. To jest tak, że dziewczynom, kobietom raz jest trudniej, raz jest łatwiej na froncie. Na przykład w społeczeństwach takich jak na Kaukazie są traktowane przez miejscowych jako totalna ciekawostka, mężczyźni chcą się przypodobać, smalą

8 Swietłana Aleksijewicz (ur. 1948), białoruska dziennikarka i pisarka; w swoich reportażach pisze o pomijanej i zapomianej historii Rosji, między innymi o katastrofie w Czernobylu, o radzieckiej interwencji w Afganistanie, o udziale kobiet i o losach dzieci w drugiej wojnie światowej. W 2015 roku wyróżniona literacką Nagrodą Nobla.

9 Miłada Jędrzyk, polska dziennikarka i reporterka, relacjonowała dla „Gazety Wyborczej” konflikty na Bałkanach i w Iraku; autorka książki *Inny front* (2015), opisującej wojenne konflikty z perspektywy kobiety.

10 Marie Colvin (1956-2012), amerykańska dziennikarka, uznana za najwybitniejszą korespondentkę wojenną swojego pokolenia, zginęła podczas ataku raketowego w Syrii. W listopadzie 2018 roku miała miejsce premiera filmu biograficznego o Colvin (*A Private War*, w reżyserii Matthew Heinemana, z Rosamund Pike w roli głównej).

cholewki i tak dalej. Nie ma w tym nic złego ani drastycznego, natomiast to zainteresowanie ma dość krótkie nogi, bo to są szalenie niebezpieczni ludzie. Była wśród korespondentek w Czechenii Czeszka – Petra Procházková – zresztą moja sąsiadka z Moskwy. Kilka razy spotykaliśmy się na wojnach. I właśnie ona się z ową kaukaską mentalnością zetknęła bardzo niefajnie. Wróciła z którejś wyprawy czeczeńskiej i, podobnie jak kilka jej koleżanek, zdecydowała się na humanitarną pomoc dla tamtejszej ludności cywilnej¹¹. Zapłaciła za to bardzo wysoką cenę, została uprowadzona, dla okupu oczywiście, przez czeczeńskich tak zwanych bojowników. Spędziła w niewoli sporo czasu, a oswobodził ją rosyjski Specnaz. To była duża rządowa operacja między Pragą a Moskwą. Ale Petra była bardzo antyrosyjska, antyputinowska, i gdy wróciła do Moskwy, nie podziękowała tym, którzy ją odbili, tylko powiedziała, że oni tak naprawdę próbują zatuszować swoje winy, których dopuścili się na narodzie czeczeńskim, a jej uwolnienie było ich śmierdzącym obowiązkiem. Miałem wrażenie, że solidaryzując się ze swoimi porywaczami, Petra popadła w syndrom sztokholmski. To często tak właśnie się kończy.

Ale na pewno jest też tak, że kobiety na wojnie wykazują bardzo dużo empatii, siły i umiejętności znalezienia czasu na to, by wczuć się przede wszystkim w sytuację tej strony, która jest najbardziej pokrzywdzona, czyli ludności cywilnej. To muszę przyznać. Tak jak korespondenci faceci uganiają się za wydarzeniówką, te dziewczyny,

Rosjanki głównie, ale też kilka polskich dziennikarek, wykazały sporo empatii wobec tych najbardziej pokrzywdzonych. To się zresztą nie wyklucza.

IK: Czy prawdą jest, że dzisiaj następuje zmierzch wojennego dziennikarstwa? Jerzy Haszczyński wyznaczył granicę na 2011 rok, ostatni moment, kiedy w Egipcie widział sporą grupę dziennikarzy z Polski. Potem to się wszystko zaczęło zmieniać.

WB: Przede wszystkim wojna jest bardzo droga, a żadna redakcja nie jest w stanie udźwignąć tego typu wydatków, przecież pieniądze, jakie wydawaliśmy jako korespondenci wojenni w różnych sytuacjach – nie będę sum nazywał, ale to są duże koszty – były związane nie tyle i nie tylko z logistyką na miejscu, kosztami przelotów, mieszkania, przedzierania się przez granicę i tak dalej, ale to były też koszty związane chociażby z przekazem sygnału satelitarne. Niewiarygodne stawki za to, żeby można było do Polski przesłać obraz z Turcji i z Iraku, Afganistanu. A to były te czasy, kiedy – jak wspominałem – media społeczne nie były tak bardzo rozpasane jak dzisiaj, sieć internetowa i komórkowa nie oplotła wtedy jeszcze kuli ziemskiej jak w tej chwili. To było wszystko znacznie trudniejsze, a w którymś tam momencie rzeczywiście redakcje poszły po rozum – pytanie: do głowy? – czy warto wysyłać tam swoich reporterów, jeżeli i tak światowe agencje będą szybsze, jeśli chodzi o przekaz obrazu. Czy rzeczywiście to, co się dzieje, w Egipcie, w Iraku, w Afganistanie, na Bliskim Wschodzie, aż tak bardzo jest

11 O swojej pomocy dla ludności cywilnej Czechenii dziennikarka opowiada pośrednio w książce, będącej zbiorem jej wywiadów z mieszkankami tamtego rejonu; P. Procházková, *Ani życie, ani wojna. Czechenia oczami kobiet*, przekł. z języka angielskiego G. Sowuła, wstęp W. Jagielski, Warszawa 2005.

dla nas ważne, żebyśmy umieszczali tam swoich dziennikarzy. W 2001 roku to było o tyle istotne, że jako sojusznik Stanów Zjednoczonych chcieliśmy się zaprezentować, zaangażowaliśmy się również militarnie w operację w Iraku i zależało nam na tym, żeby pokazać naszych dzielnych chłopaków, którzy mają tam swoje bazy w Bagramie i w innych miejscowościach. To było ważne – zaprezentować się też z tej strony medialnej i po części propagandowej, że jesteśmy, że relacjonujemy, nie zostawiamy chłopaków samych. Chodziło o nasz strategiczny interes, o sojusz militarny ze Stanami Zjednoczonymi, o członkostwo w NATO. A w tej chwili to już jest zgrana karta, to wszystko już było. Powiem tak: chętnie pojechałbym do Syrii właśnie teraz. Pojechałbym do Syrii, do Damaszku, do Dumy, do Guty, ale wiem, że nikt mi na taką wyprawę nie da apanaży – żadnych. Bo jest to wyprawa, która z góry jest skazana na ogromne wydatki, a i tak mamy z każdej strony relacje filmowe, zdjęcia, które są zresztą do siebie bardzo podobne. Co w jakimś sensie wyklucza możliwość rzetelnej analizy. Widziałem relacje zachodnich dziennikarzy (głównie amerykańskich), którzy pod ochroną Kurdów docierają do miejsc kontrolowanych przez ich armię, teoretycznie wspieraną przez Stany Zjednoczone. Tam jakoś mogą się poruszać, ale już gdzie indziej nie. I teraz pojawia się pytanie – jeżeli ja bym pojechał na przykład, bo był taki pomysł, żeby pojechać na stronę wojsk wiernych Asadowi, to od razu byłaby łatka: Bater pojechał za rosyjskie pieniądze, żeby kłamać

o sprawiedliwej roli Rosjan w tym konfliktcie, bo oni mu to umożliwili. Gdyby do mnie przyłgnęła taka łatka, że byłem po stronie Rosji, to już druga strona by mnie nie przyjęła, bo uznaliby, że jestem szpiegiem Asada. W związku z czym to jest szalenie trudne i powoduje, że tak naprawdę w Syrii praktycznie nie ma zagranicznych dziennikarzy.

IK: Jakiś czas temu rozmawiał Pan w swoim programie z Witoldem Repetowiczem, jednym z niewielu polskich dziennikarzy, którzy pojechali do Syrii¹².

WB: Witold Repetowicz wraz z operatorem zostali aresztowani przez asadowców zaraz na początku swojej misji. Przesiedzieli dwa miesiące w więzieniu, a pod koniec roku [2017], przed Bożym Narodzeniem ich wypuszczono. W Syrii bywali różni dziennikarze z Polski, lecieli z pomocą humanitarną, wjechali na przedmieścia Damaszku. Ale to były zorganizowane „wycieczki”, wyprawy, przygotowane przez określone organizacje pomocy humanitarnej, podobnie jak nasza do Sarajewa. Natomiast ja w 1992 roku zostałem na wojnie, opuściłem konwój Janki Ochojskiej i postanowiłem działać na własną rękę. Podpisałem Jance odpowiedni cyrograf. Domyślam się jednak, że sytuacja, która teraz jest w Syrii, nie jest taka, żeby można było tam zostać na własną rękę, bo to jest bilet w jedną stronę. Wjechać można, a co potem, gdy konwój wyjedzie? Jest bowiem porozumienie, że dla tego konkretnego konwoju obowiązuje czasowe zawieszenie broni, ale ono wygasa, i co dalej?

12 *Dookoła świata*, 12 stycznia 2018, [Wiktor Bater rozmawia z Witoldem Repetowiczem] Telewizja Superstacja, <http://www.superstacja.tv/program/dookola-swiata-witold-repetowicz,6635517/> (dostęp 20 lipca 2018).

IK: Dobrze rozumiem, że gdyby Pan miał taką możliwość, to by Pan nadal jeździł na wojny?

WB: Jak najbardziej tak. Bardzo bym chciał zobaczyć i poznać prawdę każdej ze stron w ten konflikt zaangażowanej, ale tych stron jest strasznie dużo, jest ich za dużo, żeby to jeden dziennikarz mógł ogarnąć własnym doświadczeniem. Bo to nie tylko jest Asad, tam jest i Hezbollah, i islamiści, i Kurdowie, i Rosjanie, i Irańczycy, i Amerykanie, i Izraelczycy. Dotarcie do każdej z tych stron i lawirowanie między nimi – lawirowanie, bo to byłoby lawirowanie – praktycznie, logistycznie wydaje się niewykonalne.

IK: Podziwiano Pana za to, mówiono, że był Pan jedynym dziennikarzem, który potrafił cudem gdzieś się przedostać... Przesłał Pan jeździć na wojny właśnie z powodu braku zainteresowania redakcji?

WB: Nawet gdy były propozycje z mojej strony, to się okazywało, że dla redakcji jest to nie do końca interesujące. Przesłałem walczyć z wiatrakami w pewnym momencie, bo wróć do tego, od czego praktycznie zaczynaliśmy, że wojna jest modna, dobrze się sprzedaje, ludzkie nieszczęście i łzy, i krew są świetnym towarem. I masakry. Natomiast w pewnym momencie się ogrywa i w dobie mediów społecznościowych naprawdę nie trzeba wysyłać własnej ekipy, własnych ludzi narażać na niebezpieczeństwo, żeby mieć dostęp do zdjęć, do relacji, można budować na podstawie tego, co się dostaje ze światowych agencji i z Internetu, takich przekazów, z jakimi się spotykamy na co dzień w mediach. Niestety. A szalenie mi brakuje – na przykład z Syrii – nawet subiektywnego przekazu dziennikarzy, którzy są tam, którzy relacjonują z miejsca, które widzą na własne oczy,

piszą o swoich odczuciach. Ja w tym momencie mniej więcej wiedziałbym, jakie wnioski mogę z tego wyciągnąć. Jak głęboko oni się zaangażowali po jednej ze stron konfliktu? Czy są bezstronni? Czy są stronnicy? Niezwykle trudne, ale takich dziennikarzy nie ma, polskich dziennikarzy tam nie ma.

IK: Agencje zachodnie również wycofały swoich korespondentów.

WB: Tam są miejscowi współpracownicy zagranicznych agencji. Po nazwiskach łatwo się zorientować. W Syrii zagraniczni dziennikarze mają ogromną trudność, dlatego, że na każdym kroku mogą wpaść w łapy jednych, drugich, trzecich, czwartych i przez każdego być posądzonymi o sprzyjanie którejś ze stron, o szpiegostwo chociażby. Wspominaliśmy o Witoldzie Repetowiczu, to jest właśnie taki cud Pański, że on przez służby Asada nie został wraz ze swoim operatorem oskarżony o szpiegostwo, bo spokojnie mogli ich osądzić. I w tym momencie to też byłby *one way ticket*. To jest szalone ryzyko w takim konflikcie jak w Syrii, gdzie mamy tygiel, w którym ścierają się mocarstwa i małe interesiki poszczególnych krajów, mocno osadzonych w regionie, takich jak na przykład Iran, Irak, Izrael, Liban, Turcja.

IK: Czy obecność na wojnie tak zwanych freelancerów może sprawić, że będziemy więcej i z różnych stron dowiadywać się o współczesnych konfliktach zbrojnych?

WB: Mnogość przekazów sprawiła, że wojna nas nie przeraża, wojna nas nie dotyczy, wojna jest czymś, co oglądamy w przekazach medialnych jak film, którego akcja rozgrywa się gdzieś daleko. A nawet, gdy całkiem blisko, jak choćby we wschodniej Ukrainie, to od-

bieramy tamtejszą wojnę jak całkowitą abstrakcję, coś, co nas kompletnie nie dotyczy, bo dotyka innych – to samo, o czym rozmawialiśmy, że nieszczęście spotyka zawsze kogoś innego, nie nas, my jesteśmy gdzie indziej. „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna”... Strasznie krótkowzroczne i strasznie zrozumiałe zarazem. Nie chcemy wpuszczać nieszczęścia do naszego domu. Oglądamy te przekazy, oglądamy te obrazy, uodparniamy się na nie bardzo. A poza tym wszystko zależy od tego, co zostanie wyeksponowane i w jakim momencie. Na przykład mnie zacierają się wszystkie obrazy wojny, bo ona wszędzie wygląda dokładnie tak samo, nie ma znaczenia, czy jest to wojna na pustyni czy w górach Kaukazu, śmierć jest śmiercią, zniszczenia są zniszczeniami. Ale na przykład pamiętam, w głowie mam takie obrazy, które w zasadzie nie są związane z wojną, choć w jakimś sensie jednak tak. Zwłoki martwego syryjskiego dziecka na plaży w Turcji, pokazane latem 2015 roku – obraz, który okazał się inscenizacją, manipulacją, zwykłą ustawką. Stąd bierze się konieczność bardzo ostrożnego traktowania tego typu zdjęć, tego typu obrazów, tego typu kadrów. Pamiętam też po kolejnym którymś tam bombardowaniu w Syrii (oczywiście, przez Asada, jakże by inaczej, taki przekaz poszedł w świat zachodni): dziecko z opylonymi kędzierzawymi włoskami siedzące w karetce pogotowia, obok niego okaleczony ojciec, dziecko też okaleczone. Potem się okazało, że mieliśmy do czynienia z totalną manipulacją. Owszem, było takie dziecko i był taki mężczyzna, ale to po pierwsze – nie był jego ojciec, po drugie – to nie było tam, gdzie przekazywano. Mój opór

wzbudza przede wszystkim możliwość manipulowania obrazami i brak możliwości zweryfikowania rzetelności przekazu. Podejrzewam, że to nie jest tylko moja bolączka. Ludzie, którzy oglądają i obserwują tego typu przekazy, którzy w jednej telewizji coś zobaczą z takim a takim przekazem, w drugiej telewizji zobaczą to samo, ale z innym przekazem, a w trzeciej – z jeszcze innym, jeśli już są tak rozwinięci medialnie, że oglądają różne źródła, mogą odczuwać zniechęcenie. Wcześniej nie było takiej możliwości, gdy byliśmy w Afganistanie czy w Iraku, nie ulegało wątpliwości, że przekaz, który przetrzucaliśmy do Warszawy, jest autentyczny, że to my jesteśmy w tym miejscu i że wiemy, o czym mówimy. Teraz nie ma takiej pewności. Przypominam sobie historię – to jednostkowe, na szczęście, przypadki – jakiegoś amerykańskiego korespondenta, który udawał, że był na wojnie, a tak naprawdę siedział gdzieś tam w strefie pokoju, w jakimś gruzowisku zbankrutowanej fabryki.

Jesteśmy uodpornieni na tego typu przekazy i to jest właśnie najgorsze. Kiedyś to szokowało, bulwersowało. Pamiętam, to był '89 rok, kiedy padał reżim Nicolae Ceaușescu. Siedziałem wtedy z przyjaciółmi w Davos, w jakiejś knajpie, i oglądaliśmy relację w szwajcarskiej telewizji. To były wstrząsające obrazy wtedy, proszę sobie je odtworzyć, jak Nicolae idzie w karakułowej czapce, i ta jego żona, która miała być wszechmogącą panią Rumunii, jak hrabia Dracula i jego dwór, tam idą jacyś zniszczeni kompletnie ludzie, idą na rzeź. Nie byłem wówczas związany z dziennikarstwem. Pamiętam te obrazy Nicolae, jego żony, którzy są prowadzeni na rozprawę, którzy są sądzeni, a następnego dnia straceni. Cały czas

zachodziłem w głowę, na Boga, ten przekaz jest tak strasznie zmanipulowany. Bo niby dobrze, że dawali mu prawo głosu, choć przecież ja też się cieszyłem, że ten reżim, w którym działała osławiona Securitate, został obalony, świetnie. Mimo tego siedziałem przed telewizorem, wszyscy pili piwko, jedli pizzę, a ja gapiłem się w ekran z wypiekami na twarzy, myśląc: i co dalej? co dalej? dokąd zmierzasz Rumunio? I potem nastąpiła cisza... Pamiętam przekaz, estetykę brudu – można by powiedzieć, bo widać było zaszczutego faceta, który owszem, ma krew na rękach, który był dyktatorem, no, ale chyba nie tak, nie do końca tak to

powinno się odbywać. Potem okazało się, że rzeczywiście, wszystko to było przyspieszone, błyskawiczna egzekucja po to, żeby Ceaușescu nie ujawnił być może jakichś tajemnic, sekretów, po to, żeby nie było głośnego, gromkiego procesu. Właśnie w Davos, siedząc w Davos, w szwajcarskim Davos, oglądając ten cholerny telewizor z Nicolae Ceaușescu, patrzyłem na to i już wtedy widziałem, zdawałem sobie sprawę podświadomie z jakiejś tam manipulacji. To był chyba jeden z momentów, który mnie natchnął do tego, żeby zostać dziennikarzem. Bo chciałem wiedzieć. Chociaż wiem, że wciąż niczego nie wiem.